

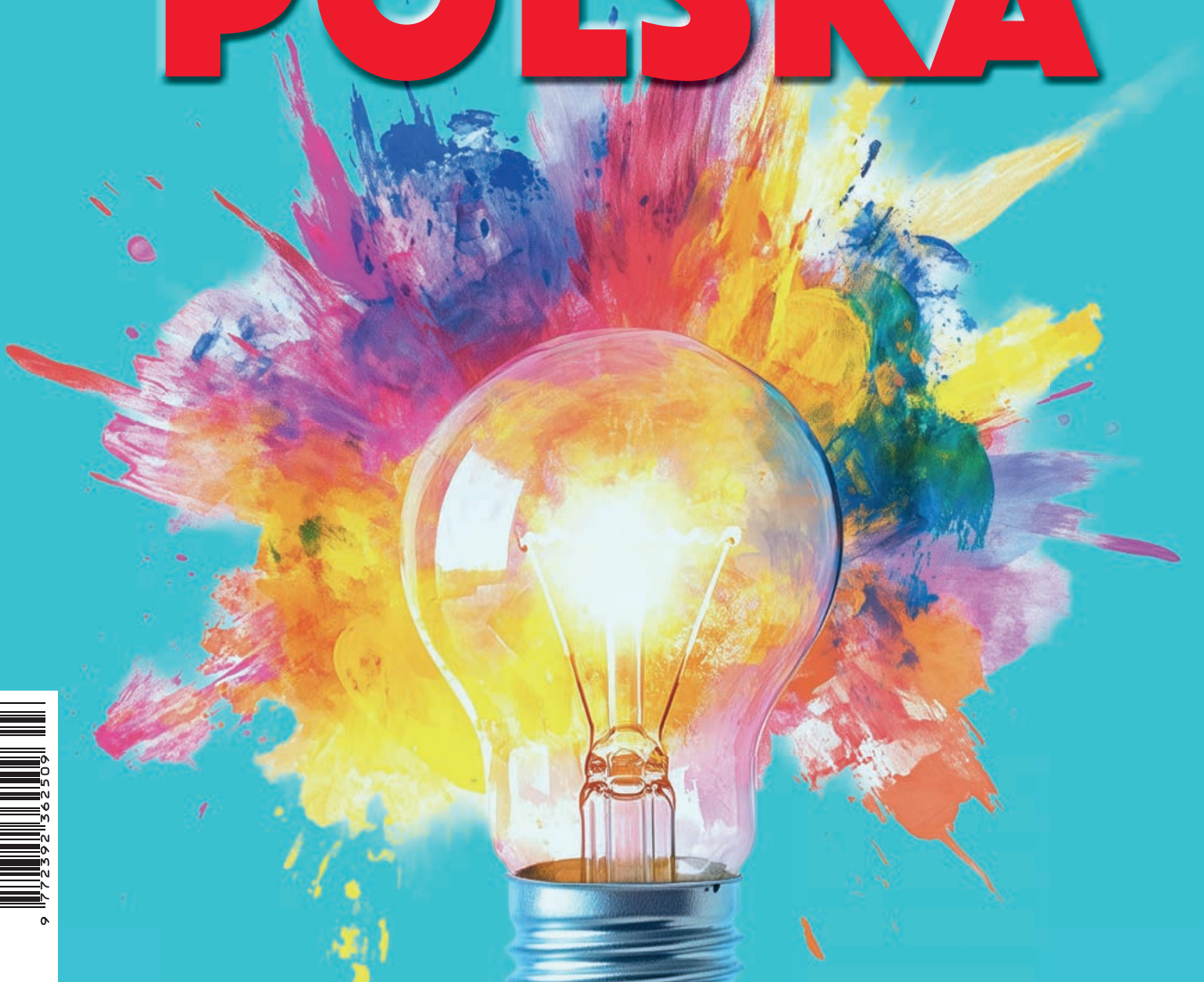
*Polak potrafi: w wielkim biznesie i technologiach
przyszłości. W literaturze i filmie.
W sporcie i kosmetykach. Czas na następny krok.*

Katolickie pismo
społeczno-kulturalne
Kraków 24 września 2025 nr 3 (35)
TygodnikPowszechny.pl
cena 29 zł (w tym 8% VAT)

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

WYDANIE SPECJALNE

**MADE IN
POLSKA**



 **Kraków**



Zeskanuj kod i zwiedzaj miasto po swojemu:



REKLAMA



Odkrywaj miasto na swój sposób



Projekt okładki
MAREK K. ZALEJSKI
/ ADOBE STOCK



MADE IN POLSKA

JEST W PUBLIKOWANYCH TUTAJ TEKSTACH i rozmowach kilka wspólnych wątków. Polska, która w ciągu ostatnich dekad goni Zachód, kopiuje wzorce stamtąd, odzyskuje własne miejsce na mapie Europy. Polska, która odkrywa, że to już jej nie wystarczy, która aspiruje, chce odgrywać ważną rolę w regionie, a z czasem zaczyna patrzeć coraz śmielej, dalej i wyżej – także w kosmos. Polska, która natrafia na ograniczenia – np. biurokratyczne – co tak często każe jej najzdolniejszym dzieciom realizować swoje pomysły za granicą. Polska, która jednak uświadamia sobie własną siłę, również tę wynikającą z historii, pod wieloma względami tak odrębnej od historii innych krajów.

I WRESZCIE POLSKA, z racji tej odrębności, pozbawiona wielu obciążeń. Skłonna śmielej eksperymentować, odważniej i z większym zapałem szukać nowych rozwiązań. Być po prostu innowacyjna. „Charakterna z niej dziewczucha, jak bohaterki opowiadań Sylwii Chutnik” – pisze w jednym z tekstów Beata Chomątowska, o Warszawie wprawdzie, ale zdanie to można rozciągnąć na cały kraj.

„**MADE IN POLSKA**” – to coś więcej niż nawiązanie do frazy tradycyjnie związanej z oznakowaniem pochodzenia produktu. W tym wydaniu specjalnym pytamy, co nas wyróżnia, na czym polegają nasze unikalne kompetencje – rozumiane, jak na „Tygodnik Powszechny” przystało, szeroko, bo pytając o nie, chętnie odwołujemy się do dziedziny kultury, świata wartości, ducha wspólnoty. Pamiętając, że chcąc tę wspólnotę poczuć, niekoniecznie musimy przeglądać się w oczach obcego.

PISZEMY WIĘC i rozmawiamy o tym, że „Polak potrafi”: nie tylko w wielkim biznesie, ale też w technologiach przyszłości; w sporcie, literaturze i filmie, grach wideo i kosmetykach naturalnych. I chyba jest tak, że w niełatwym skądinąd czasie – politycznych zawirowań w świecie, wojny za wschodnią granicą – przynosimy w ten sposób również sporą dawkę optymizmu.

Życzę dobrej lektury.

MICHAŁ OKOŃSKI
redaktor wydania



1 ZŁOTY WIEK

- 8 Bohaterowie są zmęczeni**
MAREK RABIJ
- 11 Jak obronić złoty wiek**
ROZMOWA Z MARCINEM PIĄTKOWSKIM
- 15 Czy możemy mieć ładne rzeczy**
JAKUB DYMEK
- 18 Polski produkt, czyli co?**
MATEUSZ PEROWICZ
- 21 Spróbuj i przetrwaj**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI



2 POLAK POTRAFI

- 28 Paczkoman**
MAREK RABIJ
- 32 Polskie firmy idą w świat**
BARTŁOMIEJ MAYER
- 35 Startupowcy: Polak potrafi**
ARTUR KURASIŃSKI
- 39 Nowa waluta Polski**
MAREK RABIJ
- 44 Kosmiczne rzemiosło**
WOJCIECH BRZEZIŃSKI



3 W KOSMOS

- 50 Kosmos się optaca**
ROZMOWA ZE SŁAWOSZEM WIŚNIEWSKIM-UZNAŃSKIM
- 53 Nasz kontakt z niebem**
ROZMOWA Z ANDRZEJEM UDALSKIM
- 57 Muszkietierowie AI**
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
- 60 Tokarczuk, Pani Literatura**
RYSZARD KOZIOŁEK
- 64 Miłego horroru**
ROZMOWA Z URSZULĄ HONEK
- 68 Świętek, Wieczny Gracz**
MAREK BIEŃCZYK
- 72 Poldi jedźcie dalej**
ZBIGNIEW ROKITA

PARTNER WYDANIA



WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

na stronie TygodnikPowszechny.pl/sklep



4 DZIECI GERALTA

- 84 **Złoto Sapkowskiego**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
- 88 **Geralt łapie oddech**
HUBERT SOSNOWSKI
- 92 **Operatorzy, dobro narodowe**
ANITA PIOTROWSKA
- 96 **Branża piękna i mądra**
EWELINA BURDA
- 102 **Pole position**
PIOTR WESOŁOWICZ

5 NAJLEPSZY DOM

- 108 **Najlepszy dom na świecie**
ROZMOWA
Z ROBERTEM KONIECZNYM
- 114 **Przewodnik po wolnej Polsce**
MARCIN ŻYŁA, OLGA DRENDA
- 119 **Miasto do życia**
BEATA CHOMĄTOWSKA
- 124 **Spotkamy się w kuchni**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

WYDANIE SPECJALNE NR 3 (35)

ISSN 2392-3628

REDAKTOR NACZELNY Michał Kuźmiński

(pełniący obowiązki)

REDAKTOR WYDANIA Michał Okoński

WSPÓŁPRACA Marek Rabij

PROJEKT GRAFICZNY Marek Zalejski

FOTOEDYCJA Grażyna Makara,

Katarzyna Bułtowicz

TP TYPOGRAFIA Agnieszka Cynarska-Taran,

Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak

KOREKTA Sylwia Frołow, Magdalena

Pawłowicz, Maciej Szklarczyk

OPIEKA WYDAWNICZA Justyna Hernas,

Anna Karolewska, Anna Pietrzykowska,

Mateusz Gawron, Barbara Ziajka

OPIEKA PROMOCYJNA Michał Sowiński, Jakub

Starzyk, Sławomir Bieniek, Karolina Biały

WSPÓŁPRACA WYDAWNICZA

Joanna Mazur-Polańska, Monika

Sochacka

WYDAWCA

Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU Jacek Ślusarczyk

ADRES WYDAWCY I REDAKCJI

30-314 Kraków, ul. Dworska 1C/LU 3-4

tel. 668 477 039

redakcja@TygodnikPowszechny.pl

REKLAMA, OGŁOSZENIA

tel. 602 590 416

reklama@TygodnikPowszechny.pl

PRENUMERATA

tel. 668 479 075

prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

SKLEP „TYGODNIKA”

sklep.TygodnikPowszechny.pl

TygodnikPowszechny.pl

DRUK Walstead Kraków Sp. z o.o.



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

Fundacja Tygodnika Powszechnego dba o suwerenność i rozwój

1,5%

„Tygodnika Powszechnego” dzięki przekazaniu przez Czytelników 1,5% podatku, a także dzięki darowiznom i innym formom wsparcia.

KRS 0000 125 605 Zobacz i dołącz do nas: powszech.net/dar

■ Prawa autorskie i majątkowe do wszystkich materiałów zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem

© na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem

TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza



złoty wiek

**MADE IN
POLSKA**

Pochód królów
na festiwalu
„Kraków 2000”,
15 stycznia 2000 r.
FOT. KRZYSZTOF
ŻUCZKOWSKI / FORUM



Bohaterowie są zmęczeni

MAREK RABIJ

Jeśli jakaś emocja spajała przez lata niemal wszystkie grupy i warstwy społeczne Polski, to było nią przekonanie, że w życiu trzeba być przedsiębiorczym. Jak to wygląda dzisiaj?

Pamiętają Państwo jeszcze Staszka, który „chciał się sprawdzić w biznesie”? Jeśli nie, to przypomnę. Tym chętniej, że przypadkiem byłem świadkiem narodzin tego głośnego cytatu w redakcji „Newsweeka”, w którym wówczas pracowałem. Głównym bohaterem opowieści był Stanisław Dobrzański, polityk koalicyjnego jak zwykle PSL, który właśnie został nieoczekiwanie prezesem wielkiej państwowej spółki PSE. Pamiętam, była jesień 2001 r., resortem skarbu w rządzie Leszka Millera od niedawna kierował Wiesław Kaczmarek, a podpisana przez niego nominacja biznesowego nuworysza na tak ważne stanowisko wzbudziła powszechne oburzenie. O wyjaśnienia poprosiła ministra także moja ówczesna redakcja.

„Staszek chciał się sprawdzić w biznesie. Dlaczego miałem nie dać mu tej szansy” – wypalił ku naszemu zdumieniu Kaczmarek. Nie mniej zaskoczeni byli czytelnicy i komentatorzy. Kuriozalna odpowiedź błyskawicznie zaczęła żyć własnym życiem.

Przywołuję ją teraz jako świadectwo czasów, w których bycie przedsiębiorczym było postawą tak naturalną, że mogło wydawać się nawet dobrą przykrywką dla politycznej korupcji.

Przebudzenie

Blisko ćwierć wieku później w spółkach Skarbu Państwa wciąż nie brakuje Staszków i Danieli, ale Polska jest już zupełnie innym krajem. W „podróży na zachód”, którą rozpoczęliśmy w 1989 r., właśnie mijamy symboliczny kamień milowy, jakim jest przekroczenie progu biliona dolarów PKB. Ta kategoria jest oczywiście płynna, bo wystarczy jedno duże umocnienie złoto do dolara i bilion zniknie jak kamfora, ale to w gruncie rzeczy nieistotne. Liczy się to, jak dziś postrzegamy swoją codzienność w odniesieniu do przeszłości. A z tej perspektywy trudno nie nazwać tych 36 lat niezwykle owocnymi.

Eksplozję wolnego rynku na początku lat 90. opisano już tak dokładnie, że w tym miejscu możemy sobie darować szczegóły. Ważniejsze wydaje się jej historyczne podłoże, jakim był wstrząs epoki Gierka. Lata 70. przyniosły pierwszą w powojennych dziejach Polski próbę gospodarczej modernizacji kraju do standardów zamożnego świata zachodniego, co zresztą wyraźnie sugerowało propagandowe wezwanie do budowy drugiej Japonii, najlepszego wówczas symbolu udanej transformacji.

Najczęstsze skojarzenia z dorobkiem dekady Gierka to oczywiście warszawski Dworzec Centralny czy Huta Katowice. W rzeczywistości jej największą zdobyczą było wzbudzenie w społeczeństwie konsumpcyjnych apetytów i uświadomienie milionom Polaków, że skok cywilizacyjny jest naprawdę w zasięgu ich możliwości.

Część badaczy dziejów gospodarczych uważa dziś, że gdyby do ciężkiego przemysłu i wielkich inwestycji publicznych ówczesne władze dorzuciły wtedy swobodę robienia drobnych interesów przez obywateli, Polska mogłaby być dziś z grubsza tam, gdzie znajduje się Korea Południowa. Ideologia wzięła jednak górę nad rachunkiem ekonomicznym i dopiero lata 90. przyniosły pełne uwolnienie wzbudzonego kilkanaście lat wcześniej potencjału polskiej przedsiębiorczości.

Rozpoczął się polski cud gospodarczy.

Sukces

Czy Polacy są przedsiębiorczy? To pytanie przez lata było bezzasadne, bo emocją jednoczącą właściwie wszystkie grupy i warstwy społeczne było przekonanie, że trzeba brać sprawy w swoje ręce. W wir interesów rzuciliśmy się z zapałem nowicjusza i naiwnością dziecka. Tylko w latach 1991-1995 „swoich sił w biznesie” spróbowało przeszło 1,2 mln Polaków, zazwyczaj nie zdając sobie sprawy z tego, na co się porywają. Symbolicznym przykładem tej postawy był wprowadzony wkrótce potem do szkół przedmiot o nazwie „podstawy przedsiębiorczości”, który miał hartować tę cechę wśród młodych Polaków pozbawionych nawet podstaw wiedzy o ekonomii.

Polski kurs na przedsiębiorczość miał od początku rys silnie indywidualistyczny. Bohaterem zbiorowej wyobraźni stał się „człowiek sukcesu”, który zawdzięcza wszystko własnej pracy, wiedzy i intuicji. W relacjach państwo-obywatel zagnieżdżyła się nieufność do instytucji publicznych jako tych, które potrafią jedynie marnotrawić grosz wypracowany w pocie czoła przez podatników. We wciąż ubogim kraju, w którym średnia pensja brutto wówczas sięgała raptem 600 dolarów, a stopa bezrobocia w niektórych regionach wynosiła 30 proc., wprowadzenie w 2004 r. podatku liniowego dla mikroprzedsiębiorców przyjęto niemal z entuzjazmem. Przeciętny Polak najwyraźniej traktował swoją sytuację materialną za najwyżej przejściowe trudności na drodze do bliskiego już bogactwa, skoro z góry głosował za ordynacją podatkową, która faworyzowała najzamożniejszych.

W 2004 r. „dołączenie do zachodu” zrealizowało się w wymiarze formalnym. Polska stała się członkiem Unii Europejskiej. Trzy lata później zniknęły granice z unijnymi sąsiadami, a wkrótce potem pewnie zmienilibyśmy też złotego na euro, gdyby szyków nie pokrzyżował nam globalny kryzys finansowy.

Na polskiej przedsiębiorczości zaczęły wyskakiwać pierwsze skazy. Kredyty frankowe, które miały pomóc wyho-

dować polską klasę średnią, okazały się pułapką. Zagraniczne korporacje, które przyniosły nad Wisłę zachodnią kulturę pracy, zaczęły wyprowadzać z Polski miejsca pracy, lokując je tam, gdzie mogły zatrudniać taniej. Ale nadal wierzyliśmy w moc wolnego rynku i w to, że trzeba brać sprawy w swoje ręce.

Wybudowaliśmy tysiące kilometrów autostrad, a polskie pociągi nie tylko przestały straszyć zapachem. Nagle okazały się także punktualniejsze od niemieckich. Polskie firmy, dotąd cel zagranicznych inwestycji, zaczęły kupować niegdysiejszych zachodnich rywali. A przyjeżdżający tu do pracy cudzoziemcy coraz częściej pytali, jak działają usługi bankowe i cyfrowe procedury urzędowe, których nigdy wcześniej nie widzieli.

Hasło „Polak potrafi” straciło ironiczny kontekst.

Zadzyszka

Tylko w ubiegłym roku zarejestrowano ponad 352 tys. jednoosobowych działalności gospodarczych, spółek i innych podmiotów powołanych do życia po to, aby dla ich twórców były narzędziem do zarabiania pieniędzy. Gdyby spojrzeć na te dane wyłącznie z perspektywy statystycznej, można dojść do wniosku, że biznes to nadal nasz ulubiony narodowy sport. Sport ekstremalny – jeśli wziąć pod uwagę, że statystycznie co trzecie takie przedsięwzięcie kończy się klapą przed upływem pierwszych 12 miesięcy od startu, a po czterech kolejnych latach śladu nie ma po aż 80 procentach nowo otwartych firm.

Upadłości i problemy związane z posiadaniem trwale nierentownego biznesu, z którego równie trudno się wycofać, co utrzymać, zdają się jednak nie zniechęcać kolejnych śmiałków. Przynajmniej w statystykach. Liczba nowych przedsiębiorstw w Polsce od dekady utrzymuje się z grubszą na tym samym poziomie 350-370 tys. rocznie (wyjątkiem był pandemiczny rok 2020, gdy ruszyło ich zaledwie 240 tys.). Uśredniając, każdego dnia około tysiąca Polaków próbuje „sprawdzić się w biznesie”.

Rzeczywistość może być jednak nieco bardziej skomplikowana od jej obrazu statystycznego. Po pierwsze, wśród chętnych, by „pójść na swoje”, dużą część stanowią takie jednoosobowe działalności gospodarcze, które powstają jedynie po to, by na co dzień w tradycyjnym ośmiodziesiętnym wymiarze obsługiwać wyłącznie jednego i tego samego kontrahenta – czyli swojego pracodawcę. Ukrywanie przed ZUS-em i skarbowką firmowych etatów pod płaszczykiem rzekomej przedsiębiorczości staje się plagą. Tylko w latach 2020-2023 liczba zatrudnionych w Polsce na umowę o pracę wzrosła o ledwie 17,9 tys. W tym samym czasie rejestr Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej zanotował wzrost liczby czynnych JDG aż o 161,9 tys.

O tym, że polski kurs na biznes traci impet, świadczą także wyniki dorocznego badania „Global Entrepreneurship Monitor”, które mierzy stosunek do przedsiębiorczości. Z jego najnowszej, ubiegłorocznej edycji, w której publikowano dane zebrane w 2023 r., wynika, że biznesu nie uważamy już za najlepszy pomysł na przyszłość. Tylko 43 proc. Polaków podpisuje się pod stwierdzeniem, że prowadzenie własnej firmy jest dobrym sposobem na zrobienie kariery. Jeszcze w 2018 r. zgadzało się z tym aż 86 proc. ankietowanych. W 2019 r. 77 proc. badanych uważało też, że osobom, które założyły firmę i odniosły sukces, należy się społeczne uznanie. Obecnie podziela tę opinię 63 proc. Polaków.

Hamowanie

A przecież ci sami ankietowani, w oparciu o własne obserwacje i opinie od znajomych przedsiębiorców, uważają także, że mamy w kraju warunki sprzyjające założeniu i prowadzeniu biznesu. Poprawa społecznej oceny przyjazności otoczenia dla firm jest wręcz gigantyczna. W 2012 r. uważał tak zaledwie co piąty Polak. Dziś aż 74 proc. Nieznacznie, bo z 54 do 48 proc., zmalał w tym okresie odsetek tych, którzy deklarują, że mają wiedzę i umiejętności niezbędne do odniesienia sukcesu w biznesie.

Nieco bardziej niż w 2012 r. obawiamy się także porażki (wzrost z 44 do 52 proc. badanych, którym strach przed fiaskiem nie pozwalał wejść na ścieżkę przedsiębiorczości), ale nie to stanowi dziś główny hamulec dla rozwoju biznesu w Polsce. Mamy do czynienia z zapaścią etosu przedsiębiorcy. W 2012 r. przeszło co piąty Polak (22 proc.) nosił się z myślą o założeniu firmy. W 2023 r. rozważało to... 2,6 proc. z nas. Wśród osób w wieku produkcyjnym tylko 1,5 proc. w momencie przeprowadzania badania było w trakcie zakładania działalności gospodarczej. Anno Domini 2012 ten sam odsetek był czterokrotnie wyższy!

Polska rzeczywistość gospodarcza lat 2023-2025 ma się więc już nijak do naszych własnych wyobrażeń o sobie jako młodych wilczkach Europy. Im bliżej nam pod względem dochodowym do najzamożniejszych krajów, tym mniejszy mamy apetyt na ryzyko. Na jednego Polaka prowadzącego biznes o metryce krótszej niż 3,5 roku przypada statystycznie aż czterech, którzy mają firmę działającą dłużej niż 42 miesiące. W Grecji ta sama proporcja wynosi tymczasem jeden do dwóch. W Norwegii, Hiszpanii i we Włoszech – już jeden do jednego. Luksemburg, Szwecja, Węgry, Słowacja, Szwajcaria, Francja, Niemcy, Wielka Brytania – tu wszędzie młode firmy przeważają liczbowo nad takimi, które już uległy się na rynku.

Na pytanie o gradację motywacji, które stały za decyzją o pójściu w biznes, polscy posiadacze młodych firm najczęściej wskazują na... niedostateczną liczbę ofert pracy na rynku. Potem wybór pada na chęć wzbogacenia się, a następnie – kolejno na pragnienie zmiany świata i potrzebę kontynuacji rodzinnych tradycji. Wśród Holendrów, Norwegów, Luksemburczyków i Szwajcarów te same proporcje układają się w kolejności: walka o lepszy świat, chęć wzbogacenia się, brak sensownych ofert pracy, tradycja rodzinna. Podobnie u Włochów, Niemców i Brytyjczyków – z tą różnicą, że tu szybkie wzbogacenie się przedkładano jednak nad chęć zmiany świata na lepsze.



■ Wybudowaliśmy tysiące kilometrów autostrad, a nasze pociągi okazały się punktualniejsze od niemieckich. Byliśmy wzorem do naśladowania. Ale ostatnio coś się zmieniło.

Zniechęcenie

⇒ W wynikach uderza jeszcze jedno – rekordowo niska reprezentacja młodych Polaków wśród tych, którzy zakładają nowe firmy. W 2023 r. na każdych stu posiadaczy biznesu działającego nie dłużej niż 3,5 roku przypadało niespełna pięć osób w wieku 18-34. Poza Norwegią (4,7 proc.) nigdzie reprezentacja młodych wśród tych, którzy próbują zaistnieć w biznesie, nie była równie niska.

Więcej: we wszystkich pozostałych krajach objętych badaniem osoby 18-34 stanowiły grubo ponad 10 proc. świeżo upieczonych przedsiębiorców (z wyjątkiem Grecji, Hiszpanii i Szwajcarii, gdzie ten odsetek oscylował w przedziale 7,4-9,1 proc., czyli i tak znacznie powyżej Polski). Na Łotwie przeszło co piątą nową firmę (22,3 proc.) otworzył ktoś przed 35. rokiem życia.

Dlaczego młodzi Polacy nie są już zainteresowani biznesem? Wśród winowajców jest bez wątpienia pandemia. Dla tych, którzy właśnie wchodzą na rynek pracy, jednym z pierwszych przeżywanym „na dorosło” doświadczeń był lockdown.

Pandemiczne przepisy sanitarne szczególnie mocno były w branżę restauracyjną, puby i kluby, siłownie i salony fitness oraz organizatorów imprez masowych – a więc przedsiębiorstwa, które mają wśród klientów głównie młodych ludzi. Towarzyszenie powolnej agonii ulubionych miejsc rozrywki, konfrontacja z kolejnymi apelami o wsparcie, publikowanymi przez właścicieli padających interesów – wszystko to mogło i musiało się odbić na wierze młodych w to, że warto iść na swoje.

Pandemia nie tłumaczy jednak wszystkiego. Nie wyjaśni zwłaszcza, jakim cudem dystans do takiej ścieżki kariery może iść w parze z gigantycznym zainteresowaniem kryptowalutami, akcjami i hazardem online. Światem, w który ryzyko jest wpisane przecież na stałe.

Odpowiedź na to pytanie ponownie postawi w centrum tej opowieści pojęcie przedsiębiorczości. Zarazem będzie jednak surową recenzją wystawioną architektem współczesnej Polski.

Alternatywa

Ekonomia chłopskiego rozumu. Tak można by nazwać po polsku coś, co redakcja amerykańskiego miesięcznika „The Atlantic” ochrzciła przed paroma miesiącami terminem „bro economy”. W skrócie, chodzi o spektrum produktów i usług tworzonych przede wszystkim z myślą o młodych, zwłaszcza młodych mężczyznach, szukających okazji do szybkiego wzbogacenia. Ich cechą charakterystyczną są także nieustanne odwołania do „chłopskiego rozumu”. Im częściej i głośniej mówią ci, że się mylisz, że nadmiernie ryzykujesz, tym bardziej nie powinieneś im ufać – zdają się mówić do swoich odbiorców właściciele giełd kryptowalut, kasyn online, serwisów i aplikacji do inwestowania na giełdzie i innych, zwykle także zagnieżdżonych w sieci przedsiębiorstwach obiecujących szybki zysk niecierpliwym klientom.

Definiując „bro economy”, publicystka „The Atlantic” Anne Lowray wskazała właśnie trzy produktowe filary, na których ma stać ów fenomen. Na co by nie padło, chodzi w gruncie rzeczy o to samo. O szybki zysk, który wreszcie zapewniłby finansową stabilizację, jakiej nie daje nawet ciężka praca. I o dopaminowe kopniaki, towarzyszące takim zabawom na granicy, a raczej już poza granicą zdrowego rozsądku.

Idąc niedawno główną ulicą mojego rodzinnego miasta, zauważyłem dziwny szyld. Czarne, grube litery czcionki gotyckiej na białym tle układały się w hasło w języku angielskim: „Make your own destiny”. Bądź kowalem swojego losu. Okazało się, że była to witryna punktu przyjmującego zakłady e-bukmacherskie. Nie wybiło jeszcze południe. Wewnątrz zobaczyłem kolejkę złożoną z ośmiu młodych mężczyzn.

Jeśli jesteś facetem, mieszkasz w kraju wysoko rozwiniętym i masz od 18 do 29 lat, to prawdopodobieństwo, że regularnie obstawiasz zakłady w jakimś kasynie internetowym, wynosi aż 42 proc. – taki wniosek płynie z badania przeprowadzonego niedawno przez instytut Pew Research. W Polsce samą wartość e-zakładów

sportowych szacuje się na ponad 10 mld zł rocznie. Przeszło 6 mln Polaków inwestuje również w kryptowaluty – twierdzą autorzy badania przeprowadzonego wiosną 2025 r. przez firmę UCE Research. Inne badanie, na zlecenie firmy Binance, szacuje polską populację posiadaczy kryptowalut na 4 mln, a nasz rynek krypto opisuje jako kluczowy w Europie z uwagi na liczebność potencjalnych klientów w wieku do 35 lat. Nawet jeśli rzeczywistość lepiej oddają te ostatnie wyniki, nie da się nie zauważyć, że na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych pod koniec 2024 r. grało... 267 tys. osób.

Nazywanie tego trendu nową ekonomią jest zapewne przesadą, ale z pewnością to poważny sygnał ostrzegawczy dla rządzących, ekonomistów i pracodawców. W sztafecie pokoleń, którą jest gospodarka, kolejna zmiana właśnie odmawia ustawienia się na linii startu. Bynajmniej nie z lenistwa. Warunki wyścigu, które zdefiniowali poprzednicy, następcy uznali za nieuczciwe. Nie tylko nie dają im szans na poprawę wyniku. W zasadzie wykluczają nawet jego wyrównanie. Jeśli chodząc codziennie do pracy jak rodzice, nie można liczyć choćby na dorobienie się dwupokojowego mieszkania i emerytury starczącej na rachunki, to po co w ogóle chodzić do takiej pracy?

Czy to nie oczywiste? Nawet nie na chłopski rozum. © P

MAREK RABJ jest redaktorem „Tygodnika Powszechnego”. Laureat nagrody NBP im. Władysława Grabskiego dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Wydał „Życie na miarę” (opowieść o przemyśle odzieżowym w Bangladeszu, nominacja do nagrody im. Teresy Torańskiej) i „Najważniejszy wrzesień świata. Kronika niezauważonego ludobójstwa na Rohingach” (nominacja Grand Press w konkursie na reporterską książkę roku).

Jak obronić złoty wiek

MARCIN PIĄTKOWSKI, EKONOMISTA:

Musimy przeprojektować Polskę. Jeśli nam się nie uda, stracimy najlepszą szansę w historii, żeby dogonić Zachód.

MAREK RABIJ: Jest dobrze?

MARCIN PIĄTKOWSKI: Gospodarczo jest świetnie. Jeszcze nigdy jako cały naród nie byliśmy tak bogaci i tak blisko poziomu życia na Zachodzie.

Dlatego napisał Pan książkę „Złoty wiek. Jak Polska została europejskim liderem wzrostu i jaka czeka ją przyszłość”?

Napisałem ją przede wszystkim, żeby świat docenił to, co wydarzyło się w Polsce przez 30 lat. Pracując przez lata w Waszyngtonie, a potem w Pekinie, obserwowałem z narastającą frustracją pomijanie naszego kraju w globalnej debacie o udanych transformacjach gospodarczo-ustrojowych. Ekspertki znają oczywiście najnowsze dane makro, komentują stan budżetu, zauważają poprawę infrastruktury. Ale gdyby zapytał pan w Londynie, Pekinie czy w Nowym Jorku o przykłady tzw. cudów gospodarczych, usłyszałby pan o Singapurze, Korei Południowej, Tajwanie, może jeszcze o Chile. O Polsce cisza.

Dlaczego?

Bo tak jak wolimy słuchać znanych melodii, tak ekonomistom wygodniej badać rzeczywistość uporządkowaną w istniejące narracje. To wymaga mniej wysiłku i łatwiej się sprzedaje. Mamy więc kraje rozwinięte, rozwijające się, azjatyckie tygrysy, demokracje w klasycznym zachodnim wydaniu, demokracje autorytarne itd.

Jednak na liście państw, którym w ciągu ostatnich 50 lat udało się osiągnąć gospodarczy sukces, mało jest krajów, które zrobiły to, będąc klasyczną demokracją. Korea Południowa czy Tajwan zdemokratyzowały się na dobre dopiero w latach 90. Południe Europy – Hiszpania, Portugalia czy Grecja – rozpoczęły reformy jeszcze w czasach dyktatury.

Tymczasem Polsce udało się coś unikatowego. Bez zaplecza w postaci cennych surowców, bez wsparcia „sterydami” wysokiego zadłużenia, za to aż z kilkunastoma premierami zbudowaliśmy zdrową demokrację i gospodarkę, i w ciągu ostatnich 30 lat zostaliśmy mistrzem Europy

we wzroście gospodarczym. Ten sukces poprawił warunki bytowe całego społeczeństwa.

Cała Europa Środkowo-Wschodnia zanotowała skokową poprawę.

Ale tylko polski dochód narodowy w przeliczeniu na mieszkańca wzrósł od 1989 r. więcej niż w jakimkolwiek innym kraju w Europie. Biorąc pod uwagę siłę nabywczą, PKB na mieszkańca zwiększył się ponad czterokrotnie, z ok. 10,3 tys. dolarów w 1990 r. do ponad 45 tys. dolarów w 2018 r. W ciągu 30 lat po transformacji Polska rozwijała się również szybciej niż wszystkie kraje na świecie o podobnym poziomie dochodów, w tym azjatyckie tygrysy. Zanotowaliśmy najdłuższy trwający okres ekspansji gospodarczej w historii Europy i jeden z najdłuższych okresów w historii świata, rosnąc praktycznie nieprzerwanie od 1992 r.

Dzięki szerokiej dostępności usług publicznych jakość życia jest nawet wyższa niż poziom dochodów. Młodzi Polacy mają praktycznie taki sam dostęp do globalnej kultury, postępu technicznego i cywilizacji jak ich zachodni rówieśnicy. I bardzo się z tego cieszą: ponad trzy czwarte społeczeństwa jest zadowolone z życia. Na początku transformacji mówił tak zaledwie co drugi Polak.

Tylko że niewielu Polaków wierzy jeszcze ekonomistom, że „przyptyły unosi wszystkie łodzie”.

W Polsce akurat uniósł, oczywiście nie wszystkie jednakowo wysoko. Ale i tak wyszło nam lepiej niż w innych krajach. Według danych Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju Polska jest jedynym demokratycznym krajem wśród byłych krajów socjalistycznych, w którym całe społeczeństwo zwiększyło dochody bardziej niż średnia w krajach bogatych. To są fakty.

Takie same, jakimi w sferze politycznej są odczucia i wyobrażenia wyborców, którzy głosują na partie kwestionujące dorobek polskiej transformacji.

A ekonomiści z zespołu Thomasa



⇒ **Piketty'ego widzą Polskę na jednym z czołowych miejsc w Europie pod względem nierówności dochodowych. Zaledwie 10 proc. najbogatszych Polaków kontroluje, ich zdaniem, aż 40 proc. dochodu narodowego.**

To inne spojrzenie na nierówności niż dane EBOiR i ważne ostrzeżenie, że walka z nierównościami pozostaje wielkim wyzwaniem. Kluczową kwestią dla długoterminowego rozwoju demokracji i gospodarki jest utrzymanie nierówności na poziomie, który nie ogranicza możliwości awansu społecznego.

W ten sposób „narody wygrywają”?

Takie pytanie zawiera tytuł głośnej książki Daron Acemoğlu i Jamesa Robinsona, którzy przekonują, że społeczeństwa bogacą się dzięki powolnemu, ale stabilnemu, rozciągniętemu w czasie wzrostowi gospodarczemu. A do tego trzeba również odpowiednich warunków społecznych, wolnych od zawirowań i przewrotów, oraz sprawnych instytucji. Nie chodzi o to, żeby przez 10 lat pędzić z PKB w tempie po 7-8 proc. rocznie, a potem zderzyć się z konsekwencjami tego pędu, które wywołają długotrwałą recesję. Zrównoważony rozwój społeczno-gospodarczy możliwy jest, zdaniem Acemoğlu i Robinsona, jedynie w grupy, które oni nazywają inkluzywnymi. A mówiąc prościej – w takich, gdzie liczba rozmaitych barier ograniczających działanie jednostki, firm czy organizacji jest jak najmniejsza.

Weźmy np. szkolnictwo. Jeśli państwo zadba o wysoką jakość publicznej edukacji, dzieci z zamożnych domów, chodzące do prestiżowych prywatnych szkół, nie będą na starcie tak bardzo uprzywilejowane wobec gorzej sytuowanych rówieśników. Część elit może zresztą posyłać dzieci do publicznych szkół, jak po wojnie we Francji. Ale wystarczy zaniedbać szkoły publiczne – efekt będzie odwrotny.

Szanse na starcie mają być równe, żeby ostatecznie wygrał lepszy?

Żeby wygrało całe społeczeństwo, bo dzięki temu w pełni wykorzysta swoje zasoby i pomoże rozwinąć się wszystkim swoim

Einsteinom, niezależnie od tego, w jak bogatej rodzinie się urodzili.

W swojej książce przeanalizowałem przypadki wszystkich 44 krajów o wysokim poziomie dochodu, z wyjątkiem małych krajów wyspiarskich i gospodarek opartych na ropie. Każdy na pewnym etapie rozwoju przeszedł od społeczeństwa oligarchicznego, w którym elity dbały tylko o własny interes i blokowały rozwój reszty grupy, w stronę społeczeństwa inkluzywnego, w którym rządzi się w interesie całej wspólnoty. To było kluczowym warunkiem długoterminowego sukcesu.

Podług tych kryteriów Polska nie miał prawa wyjść sukces gospodarczy. Po 1989 r. skreśliśmy ostro w stronę założeń Konsensusu Waszyngtońskiego. Czyli: jak najmniej państwa w gospodarce, prywatyzacja połączona z deregulacją rynku pracy, obniżanie podatków. O wyrównywaniu nierówności ani słowa.

Bo czarną robotę odwalił PRL, który zbudował społeczeństwo wprawdzie ubogie, ale egalitarne, społecznie mobilne i nie najgorzej wykształcone.

U Acemoğlu i Robinsona nie ma odpowiedzi na pytanie, co sprawia, że jakiś kraj w pewnym momencie przedstawia zwrotnicę w stronę inkluzywności. Postanowiłem rozwinąć tę myśl w swojej książce i doszedłem do wniosku, że tego typu przemiany zawsze są efektem poważnych wstrząsów politycznych i przemocy, która jest niezbędna, by odebrać władzę starym elitom. W Europie Zachodniej zarzewiem tych przemian była epoka napoleońska, która zlikwidowała pozostałości feudalizmu i uwolniła społeczeństwa. Azję po 1945 r. zmienili Amerykanie, którzy narzucili podbitym krajom, szczególnie Japonii, nowoczesne konstytucje i przeprowadzili radykalne reformy rolne. W Polsce tę samą rolę odegrały najpierw II wojna światowa, a potem komunizm.

Konstytucja marcowa zniósła tytuły szlacheckie.

Odebrała im jedynie znaczenie prawne. Przedwojenna Polska miała społeczeństwo oligarchiczne, w którym *de facto* rządziły wąskie elity. Widać to choćby po nieudanej reformie rolnej: wbrew szumnym zapisom w kolejnych ustawach, do końca II RP udało się rozparcelować mniej niż 10 proc. ziemi. Ówczesny „układ” był zbyt silny, żeby pozwolić na inkluzywne reformy.

Dopiero II wojna i komuna zaowocowały – czy raczej poskutkowały, był to bowiem proces brutalny, a dla wielu tragiczny – głęboką urawniówką. Dotychczasowe elity majątkowe gwałtownie zubożały, a jednocześnie PRL wypisała sobie na sztandarach postulat równości, który traktowała w miarę poważnie. Ruszyły elektryfikacja wsi, program walki z analfabetyzmem, industrializacja, która miała rozmach większy od przedwojennego Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Według danych spisu powszechnego z 1931 r. – 31 proc. mieszkańców Rzeczypospolitej powyżej 10. roku życia nie umiało czytać. W latach 1933-35 odsetek dzieci w wieku szkolnym, które nie pobierały żadnej nauki, wzrósł z 9,8 do 11 proc. Dziś już się nie dowiemy, czy II RP, spadkobierczyni Rzeczypospolitej szlacheckiej, poradziłaby sobie z tymi problemami lepiej niż PRL, gdyby tylko miała na to czas.

Lubię cytować powiedzenie Napoleona, że historia jest zbiorem kłamstw, które postanowiliśmy uważać za prawdę. Dotyczy to także tradycji szlacheckiej, którą nasza arystokracja wytworzyła głównie na własny użytek. Tymczasem mit Rzeczypospolitej szlacheckiej jako wspólnego domu szlachty i pozostałych stanów ma się nijak do realiów, w których znikomy procent populacji decydował o kształcie państwa. Położenie reszty było znacznie gorsze, kończąc na chłopach, których status niewiele różnił się od doli niewolników.

Oligarchiczne społeczeństwo szlacheckie nie tylko budowało prawo i struktu-



MIROSLAW STELMACH / REPORTER

MARCIN PIĄTKOWSKI

jest ekonomistą, profesorem w Akademii Leona Koźmińskiego, ekspertem Banku Światowego, doradcą m.in. premiera Indii Narendry Modiego. Wydał książkę „Złoty wiek. Jak Polska została europejskim liderem wzrostu i jaka czeka ją przyszłość”.

ry, które wykluczały obcych poza nawias i utrwały władzę – dość przywołać konstytucję „Nihil novi” czy *liberum veto*. Wytworzyło także system wartości, który piętnował dążenie do poprawy swego losu. Oszczędność i przedsiębiorczość, które w Europie Zachodniej uchodziły za cnoty, w kulturze sarmackiej nazywano skąpstwem i chciwością. Polska szlachta – jak każda elita – czuła się po prostu bezpieczniej, kiedy miała dla siebie duży kawał nierosnącego ciasta. Sytuacja, w której ciasta zaczyna przybywać, jest dla każdej elity niebezpieczna, grozi bowiem tym, że w pewnym momencie pojawia się ekonomiczna, a potem i polityczna konkurencja. Lepiej nie ryzykować i zablokować taki proces od początku. Naszej szlachcie się to świetnie udało.

W 1945 r. w całej Europie Wschodniej arystokracja i burżuazja straciły nagłe na znaczeniu. Wszędzie doszło także do spłaszczenia struktury społecznej. 45 lat później wystartowaliśmy mniej

więcej z tego samego pułapu ubóstwa. Jak Pan wytłumaczy, że nam poszło lepiej niż np. Ukraińcom czy Bułgarom? Budowa społeczeństwa inkluzywnego nie oznacza automatycznego dobrobytu. To warunek konieczny, ale niewystarczający.

Potrzebna jest też dobra polityka gospodarcza. Nam po 1989 r. udało się relatywnie szybko zbudować instytucje, które mogły zacząć kontrolować reguły wolnorynkowej gry. Dorobiliśmy się też niezależnych, także finansowo, mediów, które patrzyły władzy na ręce. Nadzór bankowy, sądownictwo, nawet administracja funkcjonowały tu sprawniej niż w innych krajach bloku wschodniego. Być może dlatego, że budową załączków nowej Polski zajęli się ludzie, którzy mieli rozeznanie, jak tego typu instytucje działają na Zachodzie. Tam dochodzili do tego przez stulecia, metodą prób i błędów, my braliśmy gotowe wzorce.

Bułgarzy też mieli do nich dostęp.

